

Eklektyk, eklezjasta

Przemysław Rojek

Roztrząsania i rozbiory

Eklektyk, eklezjasta

Zacząć wypadnie od apologii. A może raczej od apoteozy. Najpewniej – od jednego i drugiego na raz.

Recenzenckie mierzenie się z dziełami Henryka Markiewicza jest (było i, miejmy nadzieję, będzie) przedsięwzięciem – co najmniej – zuchwałym. Z wielu zresztą powodów, spośród których niech będzie wolno wymienić tu dwa główne. Pierwszy – że Henryka Markiewicza pisanie o literaturze cechuje się wyjątkową konsekwencją metodologiczną i trudno jest w zasadzie o najnowszej jego książce *Jeszcze dopowiedzenia. Rozprawy i szkice z wiedzy o literaturze*¹ oraz o zastosowanej tam strategii naukowego oglądu fenomenu literatury i metaliteratury powiedzieć coś, czego by już nie powiedziano czy to o *Głównych problemach wiedzy o literaturze*, czy też o *Wymiarach dzieła literackiego* (aby odwołać się do kanonicznych, bodaj najbardziej zbrazowiałych w podręczniki, a jednocześnie najmocniej chyba ustawiających głos Markiewicza jako literaturoznawcy dzieł). Powód drugi jest jednocześnie właściwym przedmiotem apologii (tudzież apoteozy), o jakiej mowa była w pierwszym zdaniu. Wydaje się bowiem, że *Jeszcze dopowiedzenia* to przykład dyskursu tak kompetentnego, obiektywistycznego, prezentującego tak mocne myślenie o literaturze nakierowane na odkrywanie prawdy jako *adequatio rei et intellectus* (i celowo pojawiają się tu pojęcia w miarę najsilniej nacechowane pewnym określonym rozumieniem naukowości), że po pierwszej lekturze niepodobne wydaje się wbicie – by użyć metafory – jakiegokolwiek klina, który rozszczepiłby pień rozpoznania literaturoznawczych Henryka Markiewicza.

¹ H. Markiewicz *Jeszcze dopowiedzenia. Rozprawy i szkice z wiedzy o literaturze*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009.

Roztrząsania i rozbiory

Mamy bowiem na nieco więcej niż czterystu stronach *Jeszcze dopowiedzeń* do czynienia z językiem nauki o literaturze, który najlepiej, najprecyzyjniej byłoby opisać jako klarowny: a zatem – sięgając po etymologię – nie tylko przejrzysty, niezmacony, ale też jasny. I chodzi tu o jasność pojmowaną – rzecz jasna (!) – jako w pierwszym rzędzie dyspozycja umysłu, przede wszystkim tego oświeconego i pozytywnego, przenoszącego rzeczy z nicestwiącego i nicującego mroku niewiedzy w światło poznania. Czy też – co jest szczególnym, metaforyzującym uogólnieniem owej opozycji – z transpozycją z bezświatelnej nicości poznawczej ślepoty w rozświetloną pełnię wszechobejmującej władzy wszystkowiedzącego (a tym samym wszystkowiedzącego) wzroku². Taki właśnie zamysł zdaje się towarzyszyć Henrykowi Markiewiczowi piszącemu *Jeszcze dopowiedzenia* (a jest to, raz jeszcze z mocą podkreślimy, dokładnie i nieodmiennie t e n s a m Henryk Markiewicz, który pisał poprzednie, fundatorskie dla rodzimej refleksji literaturoznawczej dzieła): ambicja odsłonięcia pełni prawdy o literaturze, teje prawdy w y - j a ś n i e - n i a, jej o b - j a w i e n i a. Prawda ta, zdaje się mówić Markiewicz, jest ukryta albo w dziele literackim, ale też w nurcie, prądzie, korpusie dzieł, zjawisku bądź zespole zjawisk życia literackiego jako w swej ejdetycznej istocie pewnych zgoda faktach, albo w towarzyszących im, równie niepowątpiewalnie istniejących metaliterackich komentarzach. Rolą badacza jest skupić całość swych wysiłków eksplikacyjnych i egzegetycznych, zaprząć swą erudycyjną kompetencję i użyć dostępnego asortymentu narzędzi retorycznych (nawet jeśli – jak u Markiewicza – naczelnym chwytem retorycznym pozostaje ostentacyjne zaniechanie jakiegokolwiek figuratywizacji) do tego, by owe esencja, *ousia*, istota, *eidos* uobecniły się w całej niezapośredniczonej pełni. Nadużyciem zapewne byłoby sprowadzenie Markiewicza metodyki czytania do fenomenologicznej postaci redukcji ejdetycznej, ale nie sposób też podczas lektury *Jeszcze dopowiedzeń* pozbyć się pewnego, by tak rzec, ingardenowskiego powidoku.

Jest jednak jeszcze drugi (a raczej pierwszy: zleksykalizowany w powszedniej polszczyźnie jako znaczeniowo prymarny), wspomniany powyżej i tymczasowo zarzucony wymiar klarowności dyskursu Henryka Markiewicza. Chodzi tu o przejrzystość, pojmowaną tu jako niezmaconie. Chociaż bowiem książka ta jawi się w pierwszym oglądzie jako amorficzna i hybrydyczna, to ostatecznym czytelniczym wrażeniem jest właśnie doznanie obcowania z całością nader jednorodną, poddaną jakimś alchemicznym bez mała zabiegom, nadającym jej absolutną krystaliczność.

No właśnie: o czym pisze Henryk Markiewicz? Szkice pomieszczone w *Jeszcze dopowiedzeniach* – bo wszak ze zbiorem szkiców mamy tu do czynienia – poświęcone są kwestiom najrozmaitszym. Część pierwsza książki, skupiona na refleksjach obejmujących zagadnienia najogólniej teoretycznoliterackie i metodologiczne, to próba opowiedzenia – między innymi – o schedzie po marksizmie (zarówno tej

² Por. M. Jay *Kryzys tradycyjnej władzy wzroku. Od impresjonistów do Bergsona*, przeł. J. Przeźmiński, w: *Odkrywanie modernizmu. Przekłady i komentarze*, red. R. Nycz, Universitas, Kraków 1998.

anachronicznej, jak i zachowującej mniej lub bardziej wyrazistą żywotność), o kanonie, o relacjach między historiografią i antropologią a literaturą, wreszcie o terminologii, a nawet... o historycznie uwarunkowanych tendencjach w tytułowaniu książek literaturoznawczych. Opowieści te, dodajmy, snute są w tak charakterystycznej dla pisarstwa Henryka Markiewicza poetyce rekonesansu detonującego swój spiętrzany potencjał erudycyjny przede wszystkim w zabiegach o charakterze typologizującym. Część druga ma nas – o czym zawiadamia jej tytuł (*Z historii polskiej literatury i publicystyki*) – zaznajomić z pewnymi niż w pierwszej części zakrojonymi obszarami problematycznymi. W istocie jednak ta połowa *Jeszcze niedopowiedzeń* to dość swobodnie skomponowana, nie roszcząca sobie pretensji do uogólnienia i wyczerpania, interpretacyjna narracja o czytelnicznych spotkaniach Henryka Markiewicza z luminarzami polskiej myśli literaturoznawczej: historykami, teoretykami i krytykami literatury (Stanisławem Tarnowskim, Karolem Irzykowskim, Aleksandrem Brücknerem, Janem Nepomucenem Millerem), ale też z pisarzami – ze Stefanem Żeromskim, Czesławem Miłoszem, Tadeuszem Różewiczem. Ta druga część *Jeszcze niedopowiedzeń* znakomicie dopełnia pierwszą: o ile tam mieliśmy do czynienia z autoprezentacją autora jako niestrudzonego w szlifowaniu swej i tak już pomnikowej kompetencji erudyty, encyklopedysty i kwerendarza, o tyle tu widzimy Henryka Markiewicza jako skrzętnego analityka, schodzącego w swych dociekaniach – czego najbardziej popisową odsłoną jest szkic *O pisarstwie Aleksandra Brücknera* – do poziomu najmniejszych znaczących drobin stylu i gramatyki. Tam – syntetyk, tu – analityk.

Ale – jako się rzekło – nawet całość zakrojona tak rozłożyście, a przy tym skomponowana, chciałoby się powiedzieć, swobodnie (by nie rzec: niesfornie) rysuje się jako niezwykle przejrzysta, do samego dna niezamącona, w sposób nader specyficzny krystaliczna w kompletności swych rozpoznań. I natychmiast też ciśnie się do głowy naznaczona niejaka, bynajmniej nie niewinną nostalgią eksklamacja: nikt już tak nie pisze o literaturze jak Markiewicz! Ale – tak, czyli jak właściwie?

I w tym pytaniu ogniskują się wszystkie mniej lub bardziej uświadomione wątpliwości, o których mowa była już w tym szkicu kilkakrotnie. Jak powiedzieć cokolwiek nowego o dziele, które jest – o czym wszak nawet jego tytuł nie zapomina uprzedzić – d o p o w i e d z e n i e m do osobnej literaturoznawczej półki, na której każda pozycja rządzi się tą samą metodą, opatrzoną bezprecedensowo niepodrabialną sygnaturą? Jak wbić klin recenzenckiego rozpoznania w pień tak mocny? Jak zmierzyć się z wcielonym w literaturoznawczą praktykę dogmatem obiektywizmu tak w swej wy-j-a-s-n-i-a-j-a-c-e-j perswazji domyślanego, że każde jego interpretacyjne rozmięczenie będzie musiało wyglądać na małostkowy i słabowity subiektywizm? Jak opisać całość tak klarowną, że wszelkie opisanie będzie musiało z konieczności być zamąceniem?

Bo też – o czym mowa była w akapicie poprzednim – pisząc o Henryku Markiewiczu, trzeba zdać sobie sprawę, że pisze się o pewnej metodzie (obiektywistycznej, klarownej, mocnej), która bynajmniej nie ułatwia recenzentowi zadania. Najłatwiej wszak oprzeć recenzję na jakimś chwycie instytucjonalizującego roz-

Roztrząsania i rozbiory

brojenia określonego idiomu – tu jednak idiom okazuje się tak dalece niepochwytny, że ów podstawowy gest recenzenckiej kontrasygnaty zawisnąć będzie w próżni (choćby nawet była to jakaś mityczna próżnia przepełniona znaczeniowymi potencjami). Uporczywy prezentyzm praktyki literaturoznawczej Henryka Markiewicza – a prezentyzm rozumieć tu należy bez większości jego akcydentalnych uwikłań semantycznych: jako po prostu wiarę w możliwość pełnego i retorycznie niezapomnianego przedstawienia, *s p r e z e n t o w a n i a* – stawia recenzenta wobec wyboru na pozór beznadziejnego: albo się zgadzamy (a wówczas recenzowanie po części przynajmniej traci sens, narażone na niebezpieczeństwo ułatwionego powtarzania tego samego innymi słowami), albo polemizujemy. Ale z czym owa polemika? Ze zdrowym rozsądkiem? Z niepodważalnością historycznoliterackiej faktografii? Z decyzją typologizującą wynikającą z empirycznie ugruntowanej powściągliwości badawczej? Z czymś, co można by nazwać – parafrazując arcyformat – teoretycznoliteracką wariacją na temat strategii „widzę i opisuję”?

Przede wszystkim jednak – z kimś, kto świadomie trwa w optyce literaturoznawczego eklektyzmu. Jeśli bowiem w tej prawdziwie oszałamiającej (a przecież tak typowej dla strategii lekturowych autora *Teorii powieści za granicą*) płataninie faktów, glosowań terminologicznych, typologicznych siatek, erudycyjnych ekskursów można zlokalizować jakieś miejsce ujawnienia się tego tak drażniącego niepochwytnego idiomu czytelniczego i badawczego Henryka Markiewicza, to znajduje się ono na początku szkicu *Pytania do kulturowych teoretyków literatury* (w oczywisty sposób nawiązującego do innego znanego tekstu autora, do *Pytań do semiotyków (literatury)* sprzed lat blisko trzydziestu). Tam czytamy takie oto słowa:

A kto pyta? I tu odpowiem po dawnemu: eklektyk. Określenie to w artykule *Pytania do semiotyków* brzmiało zapewne dla niektórych czytelników jak autokompromitacja, dla innych – jak prowokacja. Dziś sytuacja jest z gruntu odmienna: pluralizm metodologiczny jest za granicą powszechnie deklarowany. [...] Nie wstyd więc być dziś eklektykiem. Eklektyzm jednak uprawiany na Zachodzie – jak podkreśla Jonathan Culler [...] – jest z reguły programowym kwestionowaniem poglądów zdroworozsądkowych. Mój eklektyzm – według opinii Marcina Wołka [...] – jest eklektyzmem zdroworozsądkowym. Pocięszam się tym, że skoro eklektyzm tego rodzaju jest dziś niemodny, to właśnie jemu przyznać należy tak cenioną dziś cechę para-doksalności... (s. 207-208).

Unik ten w sposób istotny rozbraja przedsięwzięcia zmierzające do przychwycenia piszącego na dystynkcji, charakterystyczności, swoistości, na *principium individuationis*, na jakiegokolwiek *differentia specifica* jego dyskursu. Wszak eklektyka niepodobna zamknąć w jakiejś określonej jakości poznawczej, by następnie ją poddać rozumiejącemu opanowaniu; zwłaszcza w sytuacji, gdy ów eklektyk w sposób tak prowokacyjny, zarazem zaś ironiczny (więc tym groźniejszy: przecież ironia odwleka wszelką jednoznaczność w nieskończoność) deklaruje, że ostateczną instancją jego eklektyzmu jest zdrowy rozsądek, a zatem rzeczywistość ty-leż oczywista, co w oczywistości swojej radykalnie niemożliwa do doprecyzowania. Ale – z drugiej strony – być może właśnie w tej deklaracji Markiewicza kryje się jakiś cień szansy na wejście z nim w prowadzący do porozumienia dialog. Stra-

Rojek Eklektyk, eklezjasta

tegia eklektyczna nie jest przecież bynajmniej nieuwikłana: nazwanie jakiejś propozycji badawczej eklektyczną dość zachęcająco otwiera możliwość dotarcia do jej sedna przez śledzenie jej heterogeniczności. Eklektyczność autodefiniuje się bowiem przede wszystkim przez swoje odniesienie do dyskursywnych innobytów – a jeśli przyjąć, że gest eklektyka dochodzi do postaci skrajnej, to wówczas można też z ostrożną założyć, że jego intertekstowa sytuacyjność doprowadza do niejakiego rozwodnienia eklektycznego podmiotu, kryjącego się w formule przekazywania innych głosów, teorii, konceptów, idiolektów. Czy właśnie takim eklektykiem jest w swej ostatniej książce Henryk Markiewicz? Dalszy ciąg niniejszego szkicu będzie przyczynkarską nieco i ostrożnie rekonesansową próbą sprawdzenia takiej właśnie hipotezy.

||

Od razu jednak doprecyzujmy: dokonując prób interpretującego ustawienia idiomu pisarstwa Henryka Markiewicza jako eklektycznego, nie będziemy próbowali stawiać tezy (kompletnie niedorzecznej w odniesieniu do autora tak metodologicznie suwerennego), że *Jeszcze dopowiedzenia* są realizacją jakichś określonych strategii badawczo-lekturowych tej czy innej szkoły literaturoznawczej. Będzie raczej chodzić o zbudowanie systemu luster, w którym z różnorodnych stron odbijać się będzie owa idiomatyczność w tym, co chcielibyśmy tu uznać za jej cechę dystynktywną. A byłoby nią – i jest to konstatacja na pierwszy rzut oka całkowicie paradoksalna – właśnie zrzeczenie się idiomatyczności. Mówiąc obrazowo: Henryk Markiewicz, nie kryjąc się ze swoimi na pozór bardzo kategorycznymi (czasem być może nawet nazbyt krytycznymi) sądami, idiosynkrazjami, sympatiami i antypatiami względem tego czy owego teoretyka bądź krytyka literackiego, takiego czy innego nurtu w refleksji i metarefleksji literaturoznawczej, w istocie jest podmiotem wprost niewiarygodnie trudnym do uchwycenia, kryjącym się za innymi językami, dokonującym – jakkolwiek pompatycznie by to nie zabrzmiało – szczególnego rodzaju *kenosis*, ogołocenia z samego siebie jako mówiącego własnym głosem, uniżenia się do roli kogoś, kto jedynie przekazuje (co najwyżej wydobywając z zapoznania, porządkując, doprecyzowując, ustawiając w nowe typologiczne konteksty) pewną wiedzę już przecież istniejącą³.

³ Nie można tu nie wspomnieć, że w refleksji metaliterackiej owo słynne *kenosis* św. Pawła (Flp 2, 7), odarcię się Chrystusa z boskości na rzecz stania się człowiekiem, figura radykalnej pokory, obrosło inwersyjnymi zgoła znaczeniami – od momentu, gdy Harold Bloom użył tej nazwy do określenia jednego ze swych zabiegów rewizyjnych, przy pomocy których efeb usiłuje przezwyciężyć wpływ prekursora. Czyli od kiedy napisał on wprost, że „właściwa *kenosis* poetycka jest demoniczną parodią *kenosis* świętego Pawła, uniżeniem raczej prekursorów, niż samego poety, i wyzwaniem rzuconym śmierci” (H. Bloom *Lęk przed wpływem. Teoria poezji*, przeł. A. Bielik-Robson, M. Szuster, Universitas, Kraków 2002, s. 132). Do Blooma wypadnie nam tu zresztą jeszcze niebawem w kilku zdaniach powrócić.

Roztrząsania i rozbiory

Można zatem zaryzykować z ostrożną tezę (i będzie to pierwsze metateoretyczne zwierciadło podsunięte *Jeszcze dopowiedzeniem*), iż Markiewicz wybiera dla siebie status tłumacza – w znaczeniu, jakie nadał temu przezwanemu Zygmunt Bauman w swoim klasycznym już eseju⁴.

Oczywiście, dokonując takiej kontekstualizacji, trzeba ją od razu obwarować dwoma zastrzeżeniami. Po pierwsze – i nieco mniej istotne – ważne uwagi autora *Nowoczesności i Zaglądy* dotyczyły stanowienia (bądź radykalnie hermeneutycznego objaśniania) praw legitymizujących rzeczywistość estetyki. Po wtóre, odrzucić wypadnie wyraźną w przypadku Baumana – co nie znaczy, że nie poddaną krytycznemu namysłowi – pochwałę ponowoczesności jako czasu wyzwolenia spod opresji ują rzmiającego (by sięgnąć po znakomity termin Tadeusza Komendanta z jego translacji *Nadzorować i karać* Michela Foucaulta) zideologizowania. Markiewicza interesuje nie estetyka, a swego rodzaju metaestetyka: nie tyle literatura zatem, co jej krytyczno-teoretyzujące oglądy; krańcowo odległy jest też autor tej książki od pokusy rzucania się w ponowoczesną *jouissance* symulakrycznych i pragmatycznie jedynie ważnych znaczeń. Niemniej jednak, jeśli uznać za obowiązujące rozróżnienie Baumana na optykę absolutystyczną i relatywistyczną w mówieniu o jakichkolwiek działaniach na gruncie kultury, to Henryk Markiewicz lokowałby się w obszarze relatywizmu, gdzie – jak mówi sam Bauman – nie istnieje wygodna, stabilna i nienegocjowalna pozycja autorytetu. Z tej perspektywy nieruchomości autorytetu jako swego rodzaju *primum mobile* mówienia o kulturze, stanowiącego absolutne prawa kulturę regulujące, ulega dynamizującemu zakwestionowaniu: teraz to polifonia dyskursów sztuki, estetyki i literatury określa miejsce, z którego dobiega li tylko eksplikujący głos egzegety.

Oczywiście, lokowanie Markiewicza w przestrzeni relatywizmu poznawczego tak radykalnego, jak wyłania się on z eseju autora *Etyki ponowoczesnej*, sytuowanie go bez reszty po stronie strategii tłumacza byłoby kuriozalnym nadużyciem: jak już zostało to tutaj powiedziane, ponowoczesny wielogłos translacji kultury na komentarz wcale często brzmi w uchu autora jak nazbyt nieumotywowany jazgot. Nie sposób też przeoczyć, że Markiewicz daje do zrozumienia – o czym także była już tu mowa – iż refleksja literaturoznawcza zawsze stoi na względnie (a może i bezwzględnie) twardym gruncie instancji zdrowego rozsądku, ostatecznie rozbijającego wszelką nierozstrzygalność. Ale wydaje się, z drugiej strony, że przy odpowiednim wymoderowaniu gest tłumacza byłby czymś Markiewiczowi bliskim – znacznie bliższym niż stanowiące reguły zawłaszczenie prawodawcy. Niepochwytny idiom pisarski, praktyczna niechęć do oznaczania tekstu jakkolwiek wyrazistszą sygnaturą retorycznej figuracji – wszystko to sprawia, że dopowiedzenia Markiewicza stają się dopowiedzeniami w sensie jak najściślejszym: porządkującym przekładem, transmisją wiedzy już w przedmiocie namysłu obecnej, prezentacją prawdy pojmowanej jako *aletheia*, odkrywaniem, gdzie odkrywca ma do wypełnie-

⁴ Zob. Z. Bauman *Prawodawcy i tłumacze*, przeł. A. Tanalska, w: *Postmodernizm. Antologia przekładów*, red. R. Nycz, Baran i Suszczyński, Kraków 1998.

Rojek Eklektyk, eklezjasta

nia ważną, ale bynajmniej nie fundatorską rolę (pozostajmy na gruncie metaforyki okołoplatońskiej) akuszera.

Inaczej nieco rzecz ujmując, można by powiedzieć, że Henryk Markiewicz jako tłumacz manifestacyjnie obnosi się z czymś, co Janusz Sławiński nazwał ongiś nader sugestywnie „chorobą cudzysłowu”⁵. Oczywiście – musimy pozbyć się wyraźnego tonu autoironicznego lekceważenia wobec schorzenia, na który to ton Sławiński sobie pozwala: dla Henryka Markiewicza ta swego rodzaju „c u d z y s ł o w n o ś ć” dyskursu jest, jak wolno mniemać, dogłębnie zamyśloną strategią oglądu literatury, krytyki i teorii z takiego miejsca, w którym to, co oglądane, będzie się uwyrażniać kosztem osobliwego zanikania tego, który bada, nie zaś wyłącznie tyleż niewygodną, co przemijającą przypadłością badawczego dziecięctwa. Sam Sławiński z kolei zwraca uwagę, że asekurowanie się cudzysłowem może mieć dwie przyczyny: po pierwsze, bywa wynikiem niechęci bądź nawet lęku przed sformułowaniem opinii i sądów w nadmiarze kategoriycznych, które mogą czynić konfrontację z innymi poglądami badawczymi tym ostrzejszą, im bardziej zdecydowanie, bez jakiegokolwiek cudzysłowu właśnie, dane opinie czy sąd były wyrażone – a nie zawsze ostrość konfrontacji przekłada się na jej produktywność, przy odpowiedniej kategoriyczności ścierających się tez i antytez niemożliwe może się okazać osiągnięcie jakiegokolwiek konsensusu. Tak więc badacz kryjący się za cudzysłowem – powiada Sławiński – zupełnie jak Baumanowski tłumacz, jasno komunikuje, że miejsce zajmowane przez jego głos w polilogu dyskursów badawczych jest tylko specyficznym występem gościnnym, że nie zajmuje on owego miejsca w sposób feudalnie nienaruszalny. Dalej, snuje swe rozważania autor *Tekstów i tekstów*, przywiązanie do cudzysłowu bywa wyrazem niechęci do bycia zamkniętym w sobie samym, do manifestowania swej niezależności od innych punktów widzenia. Ten, który nie cytuje, nie przywołuje, może się rysować jako ten, który nie słucha, który czuje się władny mówić już – tylko i aż – we własnym imieniu. Co oczywiście z jednej strony jest poświadczeniem przejścia w stan badawczej pełnoletności, z drugiej jednak – bywa mówieniem bez mała autystycznym.

Tłumacz Henryk Markiewicz, powtórzmy raz jeszcze, ze stanu, który prawodawca Janusz Sławiński chciałby postrzegać jako jednostkę chorobową, czyni zasadę, normę postępowania. I owszem – można potraktować to także i w ten sposób, że Markiewicz ogląd literatury staje się tym sposobem czymś na tyle pozbawionym idiomatycznego kościca, że uniemożliwiającym podjęcie polemiki; że typologizujące zaledwie oddawanie pola innym tekstom i metatekstom sprawia, iż niesłyszalny staje się jakikolwiek głos nadrzędnie scalający, z którym dałoby się nawiązać dialog. Niemniej jednak *Jeszcze dopowiedzenia* tak właśnie rozumieją namysł nad literaturą: jako skrętność notowania, przywoływania, cytowania, parafrazowania i przytaczania, która ma starczyć za akt przeniesienia tego, co opisywane, w inną przestrzeń komunikacyjną, gdzie będzie to mogło być zrozumiane w sposób choć trochę inny.

⁵ Zob. J. Sławiński *Bez przydziału /VIII/*, „Teksty Drugie” 2003 nr 2/3, s. 187-188.

Roztrząsania i rozbiory

Z innego punktu widzenia, w innym metateoretycznym zwierciadle *Jeszcze dopowiedzenia* mogą się okazać opowieścią, którą zrozumieć można przy użyciu narzędzi wypracowanych przez Harolda Blooma⁶. Wedle tego wiecznego *enfant terrible* współczesnego literaturoznawstwa – przypomnijmy dla porządku kwestie powszechnie znane – samoukształtowanie w pełni suwerennej podmiotowości piszącej może się dokonać jedynie przez symboliczne zabicie poprzedników, w akcie rytualnego pożarcia ojca. Efeb w drodze do ukonstytuowania siebie jako dojrzałej tożsamości przechodzi przez kolejne etapy, zwane przez autora *Mapy przekrzywień* zabiegami rewizyjnymi, które zamieniają wszelkie działanie pisarskie w próbę uporania się piszącego z innym literatury nie przez niego samego tworzonej, w radzenie sobie z owym przeklętym, ale też jedynym ruch tworzenia inicjującym, „lękiem przed wpływem”. W rzeczywistości literatury przetrwać mogą wyłącznie „silni poeci” (który to laur, przypomnijmy, przyznaje Bloom twórcom bynajmniej niekoniecznie poezją się parającym), czyli ci, którzy są w stanie zawłaszczyć w swój dyskurs jak najwięcej tego, co nim nie jest – i przez to wywalczyć sobie przestrzeń dość obszerną, by ten jeden głos mógł być najdonośniej słyszany.

W jakim jednak sensie można Henryka Markiewicza spróbować porównać do „silnego poety” Harolda Blooma? Zdaje się, że podstawą ewentualnej zbieżności byłaby strategia zachłannego zgoła zawłaszczania innych głosów (w tym przypadku nie literackich, a badawczych, krytycznoliterackich, teoretycznych), którego to zawłaszczenia stawką jest ustanowienie własnego podmiotu piszącego. Eklektyzm, do którego Markiewicz niejednokrotnie się w swojej karierze badawczej przyznawał, jest wszak manifestacją fundowania własnego sposobu aktywności pisarskiej niejako w sieci tego, co nietożsame, a co się dopiero w ostatnim geście (weryfikatorskim, interpretatorskim, typologizującym, klasyfikującym itp.) z sobą samym piszącym utożsamia. Dyskurs „silnego poety” Henryka Markiewicza wybrzmiewa – tyleż niedostrzegalny, co wyraźnie słyszalny – niejako na skrzętnie uporządkowanych gruzach dokonania „poetów słabych”, których wpływ został przez autora *Jeszcze dopowiedzeń* przewalczony, przemianowany na własny głos. Oczywiście – Markiewicz nie zacierając tropionych przez siebie śladów, jest wszak (o czym mowa była w poprzednich akapitach) zarażony szczególnie mutacją „choroby cudzysłowu” Sławińskiego, niemniej jednak gesty za-

⁶ Zob. H. Bloom *Lęk przed wpływem*; „Literatura na Świecie” 2003 nr 9-10 (numer monograficzny poświęcony Haroldowi Bloomowi); por. A. Lipszyc *Międzyludzie. Koncepcja podmiotowości w pismach Harolda Blooma*, Universitas, Kraków 2005. To akurat metaliterackie lustro podsunęte najnowszej książce Markiewicza wydawać się może szczególnie kontrowersyjne – zwłaszcza że otaczają je w niniejszym szkicu konteksty wskazujące raczej na chowanie się dyskursu *Jeszcze dopowiedzeń* za innymi głosami niż na agresywne wywalczanie sobie przezeń własnej przestrzeni. Wydaje się wszakże, że również Blooma metoda fundowania pisarskiego języka wyłącznie w drodze konfrontacji z tym, co inne, jest czymś – przy odpowiednim przykrojeniu – nie aż tak odległym od strategii Henryka Markiewicza.

Rojek Eklektyk, eklezjasta

właszczenia, pozorowanego chowania się za innymi koncepcjami literaturoznawczymi są u niego aż nadto widoczne.

Lub też – pozwólmy sobie na czwartą już, równie (nie)uprawnioną jak poprzednie, kontekstualizację tego, jaki sposób myślenia literatury wyłania się z kart *Jeszcze dopowiedzeń* – refleksja literaturoznawcza Markiewicza rysuje się jako specyficzna odmiana myśli słabej, po trosze tak, jak rozumiał ją Gianni Vattimo⁷. Oczywiście, znowu (jak było to w przypadku Zygmunta Baumana) odrzucić musimy ten ostatecznie afirmatywny stosunek, jaki włoski filozof ma do radykalnie spluralizowanej rzeczywistości społeczno-intelektualnej postmodernizmu, a co za tym idzie – do retorycznego jedynie charakteru prawdy, do nietzscheańskiego z ducha zastępowania prawdy jej interpretacją. Henryk Markiewicz – o czym wielokrotnie już w szkicu tym była mowa – żywi przekonanie, że prawda literatury i prawda o literaturze w najrozmaitszych ich zapośredniczeniach, jest ostatecznie dostępna: już to oświeconemu zdrowemu rozsądkowi, już to w niepomiaralnie skomplikowanej, rozmiętej na niezliczone procedury pozytywnej weryfikacji drodze docierania do *eidos* tego, co literackie. Niemniej jednak wówczas, gdy autor *Końca nowoczesności* pisze o poznawaniu jako powściągliwym w swych fundatorskich i prawodawczych roszczeniach p r z y j m o w a n i u d o w i a d o m o ś c i, gdy wskazuje, że rozumienie jest z gruntu hermeneutycznym, rezygnującym z wszelkiego przedustawnego absolutyzmu otwieraniem się na inność, gdy opisuje prawdziwość jako swego rodzaju pasożyta, nie tyle *wy-*, co *prze-*twarzającego, dającego (się) poznać wyłącznie poprzez przeniesienie w inną przestrzeń komunikacyjną – zdaje się to nie aż tak odległe od zamysłu Henryka Markiewicza. Czyż nie jest bowiem tak, iż ten tak trudny do uchwycenia podmiot piszący *Jeszcze dopowiedzenia* wchodzący w rolę tłumacza, który nie stanowi prawdy, a jedynie pozwala ją odkryć, podsuwając niezliczone cytaty, parafrazy, przywołania – czyż nie jawi się on jako ktoś manifestacyjnie wręcz osłabiony wobec przedmiotu swojej refleksji? Osłabiony tak dalece, że – ostentacyjnie jednak wyrzekając się pokusy, którą demaskatorsko podsuwa nowoczesnej tożsamości Harold Bloom: pokusy symbolicznego pożarcia wszelkich swych antenatów i antecedencji – doprowadza do ostatecznego rozproszenia własnego idiomu pisarskiego, do sytuacji, w której bardzo wyraźnie na pozór obecnego w swym piśmie Henryka Markiewicza niezwykle trudno jest na Henryku Markiewiczu przychwycić. To prawda, wierzy on w niezbywalne istnienie sensu tego, co literackie, która to wiara zdaje się nader mocno osadzać go w poznawczym bycie – co nie zmienia faktu, że w ocenie ostatecznej możliwości łatwego dotarcia do owego sensu daleko mu do postawy tryumfatorskiej, znacznie bliżej zaś do wielorako motywowanego sceptycyzmu.

⁷ Zob. G. Vattimo *Dialektyka, różnica, myśl słaba*, przeł. M. Surma, A. Zawadzki, „Teksty Drugie” 2003 nr 5; por. B. Stelmaszczyk *Gianni Vattimo, M. Popiel Włoskie drogi postmodernizmu. Gianni Vattimo*, „Teksty Drugie” 1996 nr 1.

Roztrząsania i rozbiory

III

Wszystkie wyżej wspomniane uwikłania (jak również mnogość tych pominiętych), wszelkie możliwe (i możliwe nieco mniej) próby znalezienia dla dyskursu Henryka Markiewicza jakiegoś innego niż on sam teoretycznego oświetlenia przypominają poszukiwanie zwierciadła, w którym dyskurs ów mógłby się odbić. A że odbijać się nie chce, aż prosi się więc o nazwanie go zgoła u p i o r n y m: wszak nie od dziś wiadomo, że wampira rozpoznaje się między innymi po tym, iż powierzchnia lustrzana nie chce naznaczyć się jego reprezentacją... I zaiste, mierzenie się recenzenta z tym – i jakimkolwiek innym – dziełem autora *Pozytywizmu* przypomina próbę przygwożdżenia interpretacyjnym osinowym kołkiem jakiegoś bytu skrajnie niepochwytnego. Zawsze bowiem, niezależnie od tego, czy *Jeszcze dopowiedzenia* egzorcyzmowane będą Baumanem, Vattimo, Bloomem czy Sławińskim, pozostaną one czymś, co rozplywa się w powietrzu. A przecież owo rozplywające się Markiewicza czytanie literatury osadza się na widnokregu smugami równie wyraźnymi co na nieboskłonach malowanych przez Edvarda Muncha. I to właśnie jest podstawowy paradoks tego pisarstwa: z jednej strony iście monumentalna kategoryczność rozpoznań, ostentacyjność poznawczych deklaracji, dogmatyczność (choć rzadko formułowana wprost) odwoływania się do zdrowego rozsądku, czyniącego tą czy inną konstatację nieusuwalnie słuszną – z drugiej, teoretyczna autoasekuracja, zasłona dymna trudnych do ogarnięcia w swej ilości i rozległości kontekstów, szermiercze parady i gardy niezgłębionej erudycji, uporczywe zacieranie śladów pozostawionych przez własny dyskurs. A zatem – u p i o r n o ś ć właśnie: bytowanie na granicy między dwoma jak najradzykalniej nieprzywiedlnymi sposobami istnienia. Pomiedzy – co oczywiste i obszerniej nieco powyżej omówione – eklektycznością, a – czym? Optyką eklezjasty.

Eklezjasty, czyli – z jednej strony – kogoś, kto przemawia na zgromadzeniu, kto wchodzi w rolę kaznodziei nauczającego swój lud, z drugiej, kogoś, kto woła „biada”. Oczywiście, drugie rozumienie bycia eklezjastą ma swoje nader poważne ograniczenia: jest utożsamieniem skrajnie dobrodusznym, płynącym z faktu, że jedynym trwalej obecnym w dyskursie kultury zachodniej eklezjastą jest biblijny Kohelet obwieszczający marność wszystkiego. Czy takim właśnie – biadającym – eklezjastą jest Henryk Markiewicz? Ostrożniej rzecz ujmując, należałoby powiedzieć: bywa. Szkice takie jak *Jeszcze raz o poetyce, teorii literatury i interpretacji*, *O antropologii literackiej – z umiarem*, *Pytania do kulturowych teoretyków literatury*, *Czego nie rozumiem w „Traktacie moralnym”?*, *Odpowiedź miłoszologom* naznaczone są niejaką niechęcią do omawianych w nich zjawisk, do pewnych nowych prądów bądź ujęć we współczesnym literaturoznawstwie. Oczywiście, niechęć Markiewicza ma tu wymiar nade wszystko poznawczy – kulturowa bądź antropologicznie nacechowana teoria literatury wydają mu się konstruktami intelektualnymi nie dość mocno zamocowanymi w pewnym apriorycznie przez autora *Przygód dzieł literackich* przyjmowanym za obowiązujący porządek epistemologiczny – niemniej jednak nie można oprzeć się wrażeniu, że niekiedy krytyczne uwagi choćby o strukturze

Rojek Eklektyk, eklezjasta

poematu Czesława Miłosza wykraczają poza granice zdrowego sceptycyzmu. Ale – raz jeszcze podkreślmy – takim biadającym literaturoznawczym eklezjastą Henryk Markiewicz bywa; i zawsze jest to bywanie co najwyżej gościnne, z którego powraca się do oswojonej przestrzeni pozytywno-oświeconego optymizmu, wiary w możliwości poznawania literatury – i literaturą.

Znacznie częściej nestor polskiego literaturoznawstwa jest eklezjastą w tym sensie bardziej ogólnym – czyli kimś, kto mając do powiedzenia rzeczy o znaczeniu najwyższym, przemawia do swego ludu. I zaiste, głosi on wówczas słowa, które „pełne są mocy”⁸. Z nieprzebranych okrucich wiedzy, z bibliograficznych nawarstwień, z uporu we własnym dążeniu do tego, co stanowi istotę literatury i literackości, Henryk Markiewicz wznosi jakąś nieogarnialną – nieogarnialną także dlatego, że w książce, będącej zbiorem tekstów dość rozmaitych, dostajemy prawo dostępu jedynie do pewnych wycinków większej, być może niemożliwej do ukończenia całości, co sprawia, że ma się ochotę nazwać *Jeszcze dopowiedzenia* swoistym *work in progress* – budowlę, jakiś kolejny wariant Biblioteki Babel ze słynnego opowiadania Jorge Luisa Borgesa, której rozmiar musi imponować. I to niezależnie od tego, czy podziela się sposób myślenia Henryka Markiewicza o literaturze, teorii i czytaniu, czy nie – jest to bowiem sposób w pełni, w całej swej eklezjastycznej eklektyczności, suwerenny. Dlatego też – w poczuciu usprawiedliwionego recenzenckiego niespełnienia (bo być może cały ten szkic był próbą legitymizującego opowiedzenia pewnej niemożności) – trzeba będzie zakończyć parafrazą słów, które padają (s. 417) w tekście laudacji, jaką Henryk Markiewicz wygłosił z okazji nadania Tadeuszowi Różewiczowi doktoratu honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego, a które kończą *Jeszcze dopowiedzenia*: słyszymy cię, Profesorze. I dziękujemy.

Przemysław ROJEK

⁸ Ten cytat z Ewangelii św. Łukasza (Łk 4, 32), który posłużył jako tytuł jednej z książek Northope’a Frye’a, Michał Paweł Markowski odnosi do charakteru, znaczenia i odbioru pisarstwa samego autora *Anatomy of criticism* (zob. M.P. Markowski *Northop Frye: literatura jako objawienie*, wstęp do: N. Frye *Wielki Kod. Biblia i literatura*, przeł. A. Fulińska, Homini, Bydgoszcz 1998, s. 11); poczynienie tego samego zabiegu w odniesieniu do Henryka Markiewicza nie będzie, jak wolno wierzyć, zbytnim nadużyciem.

Roztrząsania i rozbiory

Abstract

Przemysław ROJEK

The Eclectic, the Ecclesiastes

Review: Henryk Markiewicz *Jeszcze dopowiedzenia. Rozprawy i szkice z wiedzy o literaturze*.
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009